

Poszliśmy porozumieć się z kapitanem Dodge, który oświadczył, że gotów jest wziąć drugiego pasażera, a nawet wygodnie ulokować Railtona, jeśli tego stanowczo zażądać. Usprawiedliwiał swoją odmowę tem, że pan Sanderson polecił mu szczególnie, abym był sam na okręcie, ze względu, że jestem chory.

Targ zawarty został szybko i zgodnie.

O ile zauważyłem, Sanderson nie był wcale zadowolony z mego zamiaru zabrania z sobą nieznanego mu kompania. Zadał mi mnóstwo pytań, odnoszących się do osoby Cullivera, pragnąc przede wszystkim dowiedzieć się, czy nie zwierzyłem mu się choć z części moich planów. Odpowiedziałem, jak było w istocie, że nie, zwłaszcza, że Culliver nie okazywał nigdy chęci poznania moich interesów. Sanderson mruknął na to coś pod nosem i zapytał: kiedy nareszcie nauczę się ostrożności, wyrażając mniemanie, że rozłupany łeb wystarczyłby każdemu innemu do nabycia jej, gdy ja prawdopodobnie żądam od losu, aby mnie przekonał o słuszności jego ostrzeżeń jakimiś nowymi i silniejszymi argumentami.

Przyznaję szczerze, że jakkolwiek towarzystwo Cullivera wydaje mi się bardzo miłe, wolałbym jednak być sam w chwili rozpoczęcia mojej działalności, lecz wrodzona uprzejmość nakazywała mi zaprosić go, choćby tylko ze względu na wdzięczność, jaka bez zaprzeczenia należała mu się odemnie za uprzyjemnienie mi pierwszej mojej podróży. Gdybym tego nie uczynił, popełniłbym bezcelowe grubiaństwo. Zresztą, pewny jestem, że w Colombo drogi nasze się rozminą.

25 listopada. — Przed udaniem się na spoczynek, kreślę tu pospiesznie prawdopodobnie ostatnią zapiskę, jaką zdążę zanotować, przebywając jeszcze na gruncie indyjskim. Jutro na pokładzie statku „Campepe” odpłynąć mam do Colombo.

Nie mogę opuścić Bombaju, nie zaznaczywszy raz jeszcze rozrzucającej wprost dobroci Sandersona, okazywanej mi ciągle. Dziś wieczorem, gdy po raz ostatni zasiedliśmy na balkonie Craigie Cottage, serce moje przepełniło się takim ogromem wdzięczności, że nie umiałem znaleźć słów, aby ją odpowiednio wypowiedzieć. Więc dręcząc się tem, milczałem. On zaś tymczasem myślał widocznie o mnie i kłopotał się mojem bezpieczeństwem, bo jakby rozmawiając sam ze sobą, mruczał nieustannie:

— Odwiedził swego brata w Triszinopoli, he?... Tylko co właśnie powrócił, he?... Lecz chciałbym wiedzieć dlaczego powrócił?... Przecież mógł stamtąd odpłynąć! W porcie Madras statków nie braknie! Znalazłby ich najniezawodniej niemało!

— Ba! — odparłem. — Colliver należy do ludzi, którzy nie wybierają najbliższej drogi między dwoma punktami. A zresztą, dlaczegożby nie miał powrócić do Bombaju?

— Chciej z łaski swojej zauważyć — rzekł Sanderson — że nie pytam: dlaczego by nie miał powrócić, lecz dlaczego powrócił?

— W każdym razie, zaręczam, że mieć się będę na ostrożności.

Podejrzliwość mego zacnego gospodarza w sprawach, dotyczących mej osoby, stała się rodzajem prawdziwej manii, pozwoliłem mu więc wygadać się, poczem spróbowałem podziękować za dowody jego dla mnie dobroci, okazywanej mi stale w tak szlachetny sposób.

— Ani słowa więcej! — przerwał mi. — Przecież to ja winien ci jestem zadośćuczynienie za to, że wmieszałem się do całej historii. Bo przecie rozumiesz, jak jest ważną rzeczą dla mnie, że ja, szanowany biurokrata, wziąłem poniekąd moralny współudział w twojem szalonym przedsięwzięciu, że nie starałem się zniechęcić cię do niego... Lecz widzisz, Trenoweth, pragnę całą duszą, żebyś wybrnął z kłopotów, bo od pierwszego dnia, w którym cię poznałem, uczułem się pociągnięty do ciebie nicią niewytłómaczonej życzliwości, więc... Lecz nie mówmy o tem, bardzo... bardzo cię o to proszę!

Oczy mego przyjaciela napelniły się łzami. Powstałem — i milcząc, uściśnięciem serdecznie jego dłonie, poczem rozeszliśmy się do naszych sypialni, czas bowiem był już wielki na spoczynek.

26 listopada. — Wyjechałem. Piszę w mojej kajucie, bo na wyraźne żądanie Sandersona dano Colliverowi inną, osobną kabinę. Po raz pierwszy ujrzał go on na wybrzeżu portowym i wzięwszy mnie w ostatniej przed wyjazdem chwili na stronę, prosił gorąco, abym się strzegł „tego draba, o oczach dyabelskich”.

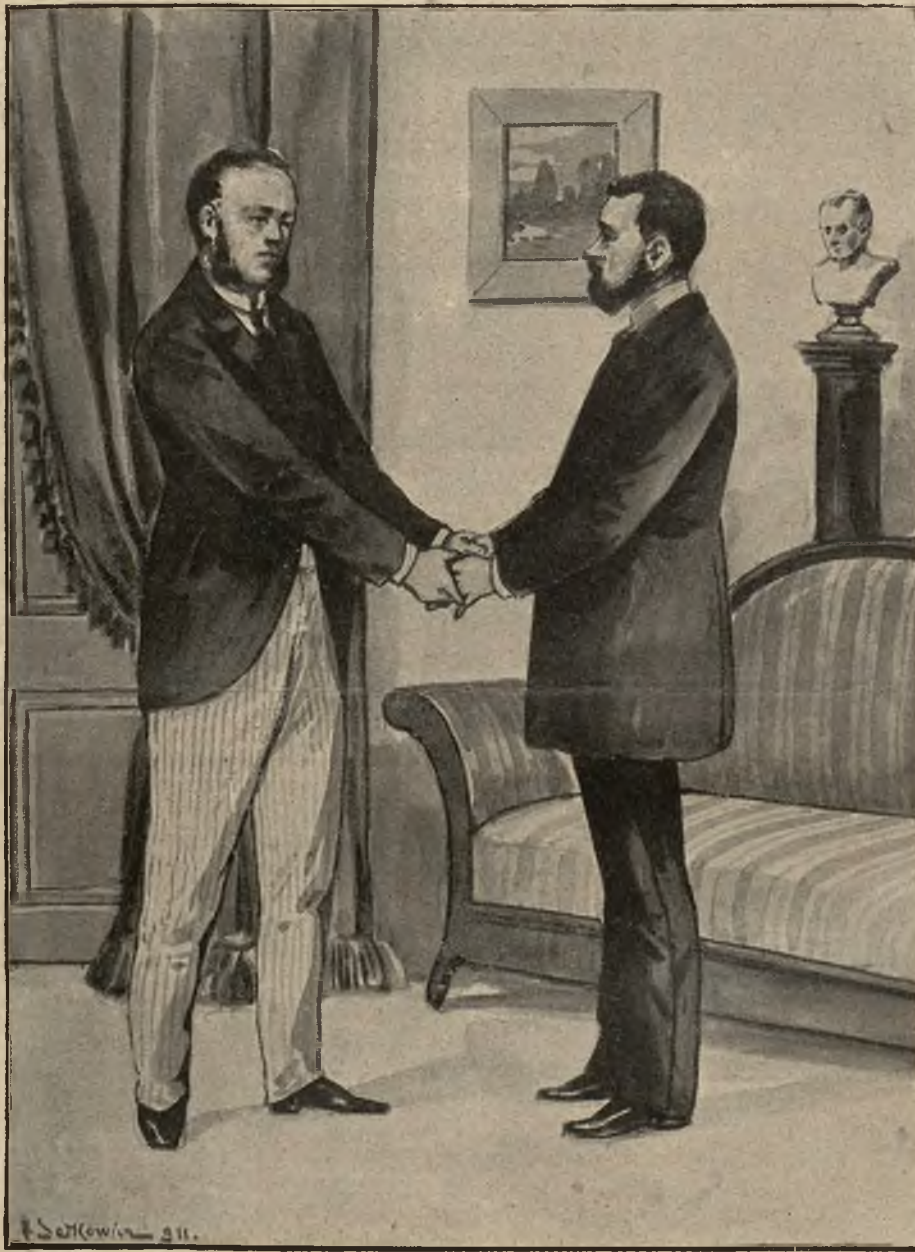
Z pokładu statku przesłałem mu jeszcze ręką pożegnanie. Odpowiedział takimże skinieniem, poczem sucha jego postać znikła mi z oczu wśród tłumu. Ze smutkiem pomyślałem, jak trudno nam będzie spotkać już się kiedykolwiek na ziemi.

Wtem drgnąłem, przebudzony z rozmyślań głosem Collivera.

— Dziwny człowiek ten pański przyjaciel, tak łatwo się wzrusza, a tak zawzięcie stara się ukryć swoje wzruszenie. Czy oddał panu jaką przysługę?

— Tak — odpowiedziałem — największą, jaką człowiek człowiekowi oddać może.

— Domyśliłem się od razu — szepnął dziwnym jakimś tonem. — Dlatego też jest panu tak bardzo wdzięczny!



Oczy mego przyjaciela wypełniły się łzami. Powstałem i milcząc, uściśnięciem serdecznie jego dłonie.

ROZDZIAŁ X.

Dalszy ciąg dziennika mego ojca. — Pobyt jego na Ceylonie.

6 grudnia. — Nie zapomnę nigdy jutrzeńki, rozłąkującej nad Ceylonem — nad krainą, która stać się ma dla mnie ziemią obiecaną.

Właśnie wyszedłem na pokład, bo chciałem pierwszy zobaczyć ład upragniony. Spojrzałem na wschód. Czarna noc zamieniała się powolutenku w coraz to bledszą szarżyznę, w pośród której dostrzegłem długi i wązki pas ziemi, podobny do tarcz, jakie widzimy w ilustracjach biblijnych. Wznosiły się one coraz bardziej w górę, w miarę, jak zbliżały się do środka. Nagle, o ile mi się zdało, jakby jakimś wezwaniem czarodziejskiem wywołane, wychyliło się z pod widnokręgu słońce i zamieniło biblijne tarcze w ład, obramowany gęstym szeregiem palm wysokopienych, a sam wspinający się olbrzymimi stopniami, pokrytymi szmaragdową zielenią, ciągle wyżej i wyżej, aż do łańcucha wirchów potężnych. Około nich płynęły w powietrzu lekkie i powiewne mgły wełniste, lecz morze i wybrzeże promieniało słońcem. Atmosfera zaś była tak przejrzysta, że odróżniałem czerwony piasek urwistych brzegów i białe pnie

palm, które całymi gajami zbiegały na dół i zdawały się kąpać w morzu błękitnem. Przed nami, z tego krajobrazu, wynurzyło się Colombo o białych domach, oświetlających się z kolei jeden po drugim.

Słońce wzbilo się już wysoko, gdy sternik, wprowadzający okręty do portu, przypłynawszy na łodzi, wszedł na pokład naszego statku. Miasto pogrążone było w spokoju popołudniowym.

Zarzuciliśmy kotwicę, a ja mimowoli zadumałem się głęboko, rojąc plany przyszłej mej wycieczki, gdy nagle usłyszałem gdzieś poniżej głos męski, wymawiający moje nazwisko. Wychyliłem się i spostrzegłem grubego i poważnego gentelmana, siedzącego w małej łódce. — O ile wrzawa, panująca wokół, pozwoliła mi mówić jak najgłośniejszą, zawołałem, że jestem na statku. — Gentelman powstał z miejsca natychmiast i nie bez trudu wgramolił się na pokład, zavalony pakami; dostawszy się zaś do miejsca, w którym się znajdowałem, przedstawił się jako p. Eversleigh, któremu polecił mnie Sanderson. Nie domyślałem się nawet, że zacy przyjaciel

zajmie się mną jeszcze i w Colombo. Co prawda, powiedział mi w dzień naszego poznania się, żebym posłał Margery adres p. Eversleigh, bo tym sposobem jej listy dojdą rąk moich niezawodnie, lecz ja, spełniwszy polecenie, zapomniałem następnie o wszystkim zupełnie. Teraz nowy dowód jego pamięci wzruszył mnie do głębi. Nie mogąc mu podziękować osobiście, uściśnięciem serdecznym wyciągniętą do mnie ręką p. Eversleigh, który od wzajemniwszy się równie silnem uściśnieniem, podał mi list od ukochanej żony, czem napelnił serce moje niewymowną radością.

Napisałem „niewymowną radością”, bo słowa — najdroższa moja Margery — nie są w stanie wyrazić uczucia, z jakim czytałem twoje pismo w ciągu krótkiego czasu, jakiego potrzebowałem na dopłynięcie małą łódeczką do lądu. Ileż to razy, gdy już powracałem do zdrowia myślałem, co porabiecie z Kaspresem oboje, gdy długie dnie samotności wloką się dla was nieustannie w nieustannej nudzie i niepokoju. Zanosilem się od płaczu, bo czułem, że osłabienie zmusza mnie do odwiekania powrotu, na który oczekujecie z niecierpliwością. Lecz teraz, ukochana, sądzę, że oczekiwanie twoje nie może już trwać długo.

Zapomniałem wspomnieć o Colliverze. Był równie dla mnie uprzejmy i równie obojętny, jak w ciągu pierwszej naszej wspólnej podróży. Nie mogę jednak w zachowaniu się jego dostrzedz przyczyn, usprawiedliwiających podejrzenia Sandersona. Wśród chaosu, wywołanego pośpiechem, z jakim wylądować pragnąłem, nie wiedziałem się od niego, co zamierza robić w Colombo. Mam jednak nadzieję, że go spotkam i zobaczę dziś, albo jutro.

10 grudnia. — Jakież to cudowny kraj, ten kraj, do którego przybyłem!

Wiatr peryodyczny, wiejący obecnie, nie pozwala mi wybrać się z miasta w dalszą jego okolicę. P. Eversleigh zapewnia, że minie za parę tygodni. Przyrzeka towarzyszyć mi w mojej wycieczce, jeśli na niego czas jakiś zaczekam, lecz oczekiwanie wydaje mi się okropnie przykrem i uciążliwym. Tymczasem zachwycam się niezwykłą pięknnością Colombo. Dziwaczne szylidy na sklepach, jaskrawe czerwone i białe stroje, kapłani przyodziani w suknie koloru płomiennego-żółtego, wszystko to zajmuje mnie swoją oryginalnością i egzotycznością, niczem jednak jest w porównaniu z niezwykłym przepychem przyrody, którą dotąd mogę tylko podziwiać z okien, albo na rzadkich i bardzo bliskich przechadzkach.

Gościńce pokryte są dziwną jakąś czerwoną gliną i ciągną się podobno w tej czerwieni milami całymi pod wspaniałymi drzewami, o jakich nie mamy pojęcia w Europie. Są to bambusy, palmy, oraz inne, których nazw nie znam, pyszniące się przesłiznym czerwonym i żółtym kwieciami. Potem wzrok dostrzega wielkie niwy, zasiane ryżem; dalej znowu widać długie aleje palmowe, oraz tu i owdzie ogromne stawy, położone przy drogach. Wrażenie, jakich doznaję na widok tego wszystkiego, opisać nie jestem w stanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).